Tygodnik literacki
literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 9. Poznań, dnia 2. Marca. 1840.

Literatura zagraniczna.

Du crédit et de la circulation,
par Auguste Cieszkowski.

Paris, chez Treuttel et Wurtz, 1839.

(Dokończenie.)

Na tém stanowisku kredyt publiczny staje się pożytkowym, upładniającym. Wyzwalając bowiem na wartości obiegowe wszystkie kapitały zawarte, nie narusza ich, ale samemi przychodami obraca. Dzisiejszy kredyt rządowy także tylko przychody puszcza w obieg, atoli z tą ogromną różnicą, że kapitały już spożył, stranowił, i same obiegają przychody bez kapitałów. Pinto powiedział, że długi publiczne mnożą bogactwo narodowe o całą summę swoją. Byłoby to fałszem w zastósowaniu do dzisiejszych operacyj kredytu, lecz jest prawdą według naszéj teoryi. Wszystkie bowiem dobra i nieruchomości, na które bilety rentowe wystawione zostały, przynoszą dochody same przez się, i są kapitałami produkującemi; obok tego krążą kapitały ich wartości oderwanych, które obracane na podniesienie przemysłu, osobne ztąd przynoszą zyski. Kiedy więc dziś dług publiczny stał się już, jakby dziedziczną państw wszystkich chorobą, stać się może na zasadach wyłożonego systemu kredytowego, jakby miną złota, kopalnią nieprzebranych bogactw i korzyści: bo kredyt dobrze lub źle użyty, działa na użytek lub uszczerbek kraju w geometrycznym postępie. I tak, kto pożyczkę stranowił, poniósł nadto w stracie i prowizye do niéj przywiązane, a ratując się nowo zaciągnionym długiem, brnie ku bankructwu przyspieszonym krokiem. Przeciwnie kto bilet rentowy wziął w zysku, bierze jeszcze zysk od zysku, to jest rentę. Coraz większe straty, nie korzyści, przynoszą dziś długi państwa. Rząd, zamiast się własnemi środkami ratować, pokrywa deficit w budżecie pożyczką, a aby ją umorzyć, nową zaciąga: na podobieństwo lekarza, który aby uleczyć niemoc przemijającą, w chroniczną ją zamienia chorobę.

Długi państwa w naszém znaczeniu są jego pożywnemi sokami. Amortyzacya dla nich jest zbyteczną, szkodliwą nawet, jeżeli odkładany fundusz amortyzacyjny lepiéj może być użyty. Długi pomienione będą i powinny być wieczyste, bo całe nareszcie bogactwo krajowe obróci się w dług obiegający, jako jedyna i garantowana wartość zamienna. Amortyzacya atoli w innym stósunku może mieć miejsce. Skarb rozciągnąwszy kredyt na stałe kapitały, jakiemi są nieruchomości rządowe i kapitały podatku gruntowego, rozciągnąć go daléj może i na inne dochody państwa. Wartości te atoli są niestałe i niepewne, i nie dadzą się dla tego podciągnąć pod system kredytu rzeczywistego. Nie mając zapewnionego materyalnego wartu, do saméj odnoszą się przyszłości. Puszczone więc w obieg jako bilety kredytowe, muszą być spłacalne i kursować tylko do czasu, a zatém z amortyzacyą. Tak tedy obok rzeczywistego kredytu rozwinąłby się i kredyt moralny ku większemu poruszeniu kapitałów, a tém samém obszerniejszych działań na dobro i pożytki kraju.

Rząd przez utworzenie i rozdanie na banki summ rentowych wpływa na podniesienie rolnictwa, fabryk i handlu, i rozwija kredyt w najodleglejszych i najdrobniejszych jego kierunkach. Przeważne atoli na kraj cały przedsięwzięcia i zakłady, te zwłaszcza, na których wykonanie wiele lat i nakładów potrzeba, n. p. koleje żelazne, kanały, budowy portów, zakładanie miast, kolonij i inne prace publiczne do bezpośrednich działań rządowych należą. Nie puszczają się na nie chętnie spekulacye prywatnych, albowiem bezpośrednim zyskiem nie nęcą, wielu początkowemi trudnościami odstraszają, słabym zrazu procentem nie dosyć wynagradzają, choć z czasem, jak n. p. poczta, ogromnego przychodu mogą być źródłem. Rząd zaś, byle miał pewność, że mu się z uczynionego nakładu przynajmniéj renta biletów kredytowych wróci, już nic

na przedsiębiorstwie swojém nie straci, a późniejsze sobie zyski zapewnia. Nie dosyć na tém: dokonane dzieło zachodem publicznym, gdy zaczyna być dochodne, staje się świeżym kapitałem nieruchomym, którego wartość podobnie, jak wartości innych nieruchomości rządowych, może być puszczona w obieg i stać się zródłem do wyprowadzenia dzieł nowych. Ale nie tylko w zachodzie około materyalnego dobra, gdzie i na prywatnych przedsiębiorcach zbywać nie będzie, zasłuży sobie rząd na wdzięczność narodu; piękniejsze, obfitsze w błogie skutki otwiera się dlań pole działań w moralnym i intellektualnym względzie. Podniesienie oświaty, sztuk pięknych i wynalazków, tudzież moralnego stanu mieszkańców, oto zawód, który prywatnemu interesowi zostawionym być nie może. Obecnie ku temu brak funduszów stoi rządowi na zawadzie: kredyt je rozwinąć, wydobyć potrafi, a nie jedna myśl wielka, nie jedna dobra instytucya, poroniona dziś bez życia dla niedostawającéj mu opieki i środków, wychowa się, wzrośnie, i dojrzawszy w siłę, obfite przyniesie owoce.

Nic z tego nie przynoszą dzisiejsze długi państwa: tranowiące kapitały, chłonące dochody przyszłości, i nagromadzające papiery publiczne do skrzyń i zamknięć kapitalistów, zkąd na żaden dla ogółu nie wychodzą pożytek. Będzie więc rzeczą skarbu, aby biletami rentowemi wykupywał obligacye swoje. O ile je wykupi, o tyle zwiększy kapitały obiegowe, i pomnoży narodowe bogactwo. Mógłby je zaś wykupywać albo częściowo, tak, jak się to teraz dzieje, za pomocą funduszu amortyzacyjnego, albo od razu całą jednę spłacić pożyczkę, przyjmując papiery, jak właśnie stać będą w kursie. Operacya taka korzystną będzie dla wierzycieli, bo zyskują na podniesionéj cenie papierów i biorą w zamian nowy papier, mający kurs monety i umieszczony zarazem na hipotekach rządowych z należytym procentem, tak, że albo mogą spłacone kapitały obrócić w handel lub inny rodzaj przemysłu, albo poprzestać na dochodach z procentu, który, acz niższy, podnosi się znacznie przewyżką nad al pari spłaconych obligacyj, i tak: 5procentowe] papiery francuzkie, stojące dzisiaj 108 do 110, mogą się podnieść do 120, gdy się zaczną spłacać. Spłacone po téj cenie biletami rentowemi, przyniosą posiedzicielowi 4,38 $\frac{0}{0}$. Taką więc operacyą zniżył rząd stopę pięcioprocentową, o blisko $\frac{2}{3}$ od sta, bez narażenia się na te niebezpieczeństwa i trudności, z jakiemi dziś w tym przedmiocie ma do walczenia. Chociażby kapitaliści, nie kontentując się niską stopą procentową biletów rentowych, wymieniali je na inne obligacye rządowe, już nigdy 5 od sta nie osięgną. Obligacye np. 4procentowe stoją na 105, a 3procentowe na 80; za 120 zatém spłaconych 5procentowych dostanie pierwszych tyle, że dadzą $4\frac{4}{7}$ $\frac{0}{0}$, drugich tyle, że dadzą $4\frac{1}{2}$ $\frac{0}{0}$, i o tyle bardziéj zniżać się będzie przychód z kapitału, o ile więcéj w skutek spłaty 5procentowych obligacyi, papiery niższéj stopy pójdą w górę. Skoro się zaś rządowi uda spłacić i 4procentową pożyczkę po kursie 110, tak, że trzyprocentowa podniesie się al pari, jużby natenczas ze szkodą było wymieniać bilety rentowe na obligacye niższéj stopy, i papiery publiczne całkiem zejdą z kursu. Tego dzisiejsza redukcya rentowa nigdy nie dokaże, bo albo kapitalista przestanie na zniżonym o $\frac{1}{2}$ $\frac{0}{0}$ przychodzie, i będzie trzymał, jak dawniéj kapitały nieużyte, albo wypowie je rządowi, który je będzie musiał nową pożyczką spłacać, i otworzy pole kapitalistom do nowych spekulacyj papierami publicznemi.

Zdawaćby się nakoniec mogło, że bilety rentowe, tworząc dług państwa wieczysty, większym są dla kraju ciężarem, niżeli pożyczki amortyzacyą spłacane. Zdanie to atoli jest pozorne. Amortyzacya tam nie jest amortyzacyą, gdzie się za pomocą nowéj pożyczki odbywa — rzeczywiście można tylko długi umarzać przewyżką dochodów nad wydatki — na ten zaś sposób dług nasz wieczysty wciąż umarzać się będzie. Wszystkie bowiem bilety rentowe pozostałe w skarbie, po zaspokojeniu bieżących wydatków, będą tém samém amortyzowane, bo rząd sobie sam od nich procentu opłacać nie będzie, a ma tę korzyść, iż posiada fundusz zawsze gotowy na niespodziane wypadki.

Oto jest ogólny zarys nauki p. Cieszkowskiego o kredycie i o cyrkulacyi, płodnéj w nowe i świetne finansowe pomysły. Aby zaprowadzone przezeń bilety rentowe mogły kiedykolwiek zupełnie zastąpić brzęczącą monetę, o tém wątpimy. Przyjęte atoli do operacyj rządowych w sposób, jaki nam autor wyłożył, stałyby się niechybnie środkiem do wydobycia nowych bogactw narodowych. Spodziewać się dla tego trzeba, że rządy, prędzéj czy późniéj, na zasadach, do zasad tu podanych, mniéj więcéj zbliżonych, kredyt własny rozwiną; imię natenczas szanownego rodaka naszego ze sławą jemu i narodowi należną, stanie w rzędzie najcelniejszych pisarzy o rzeczach finansowych.

Libelt.

Literatura krajowa.

Poezya.

Trzy mogiły.

1.

Trzy góry znojem sypane narodu,
Lackiego Nilu piramidy wzniosłe,
Trzy groby, z grobu ojczyzny wyrosłe
Stoją w obliczu królewskiego grodu.

2.

Stoją — jak bardy, co w przyszłość daleką
Sędziwą sławę swojéj głoszą ziemi,
Jak Alpy czasu, pomiędzy któremi
Przeszłość tak pełną przepłynęła rzeką.

3.

Mieszczą się wśród nich całe lat tysiące,
I z pełnią chwały i z zagubą bratnią
Słońce chrobremu ludowi świecące,
Weszło nad pierwszą, zgasło nad ostatnią.

F. M.

Mazurowie.

Kiedy ruskie ziemie i małopolska wyludniane bywały przez napady Tatarów, tymczasem za Wisłą spokojnie siedzący Mazurowie rozradzali się sporo i zaludniali piaszczyste swoje powiaty. Łatwo więc mogły z téj strony Polski przesiedlać się gromady, jużto do Prus już na Ruś czerwoną, już do Litwy, już na Białą Ruś; gdy przeciwnie do Małopolski sprowadzać było potrzeba z zagranicy osadników, aby wyludnioną przez Tatarskie napady zapełnić osadnikami obcymi. Pierwsze takie przesiedlenie Mazurów nastąpiło do Prus po r. 1230, gdy utworzone nad Wisłą prusko-chełmińskie biskupstwo niszczący Prusacy aż do Mazowsza napadali. Tak więc, gdy z porady Chrystyana prusko-chełmskiego biskupa (należącego do dzielnicy księstwa mazowieckiego) tudzież Güntera, biskupa płockiego, sprowadzeni krzyżacy Prusaków poskramiać zaczęli,[1]) rodziła polityka mięszać z ujarzmionym pruskim ludem nowo tu sprowadzane osady Mazurów, i sadowić je w okolicy Gdańska i Królewca.[2]) Dotąd istnieją tamże te osady, i chociaż z nich niektóre już zniemczały, przecież aż po dziś dzień noszą nazwisko Mazurów. Przez te osady snadź upowszechniły się tu obyczaje i prawa polskie, doszedłszy aż do Kurlandyi.[3]) We wieku XIII sprowadzali na Ruś czerwoną Mazurów książęta mazowieccy, na halickim osiadając tronie. Aż dotąd są więc w ziemiach ruskich, a szczególniéj pod Karpatami, osady Mazurów. Na Litwę i na Białą-Ruś przesiedlali się Mazurowie w XIV. i następnych wiekach i aż dotąd mieszkają tamże.

W politycznym swym składzie i w sposobie myślenia różnili się wielce Mazurowie od Wielko- i Małopolanów. Z potrzeby pobratali się panowie Polscy ze szlachtą; w Mazowszu nie było nigdy powodu, ażeby toż samo nastąpiło. Dla tego też mazowiecka szlachta pozostała przy dawnéj prostocie swojéj, nie ubiegając się ani za pańskością, ani za wpływem na sprawy polityczne, tak dalece, że nawet nie widziała wtém własnego dobra, gdy za Zygmunta I. znowu pozwoliły jéj losy w jedno państwo skleić się z Polską. Z czasem dopiero przejrzała i przekonała się o tém, że w połączeniu tém raczéj zyszcze niż straci, pomimo to, że panowie w inszém świetle wystawiali jéj rzeczy, niechcąc w politycznym względzie blisko zetknąć się z nieokrzesaną tłuszczą.

Mazur pozbawiony środków nabycia lepszego mienia był ubogim, ale nie biednym; a nie zbliżywszy się nigdy do poloru zachodniéj Europy, dla tego, że nie przebywał na dworach panów swoich, wielkim prostakiem, a nawet głupcem zdawał się być Polakowi. Śmiech nawet i politowanie wzbudzał u rodaków swoich pańskiego stanu, gdy po śmierci Zygmunta Augusta po raz pierwszy pokazał się na polu publicznych obrad, w prostym swoim ubiorze, z kijem w ręku i kieszenią pustą, nie mając wyobrażenia nawet o tém, co się około niego działo. Panowie polscy żywili to ubóstwo, jeść im z własnych posyłając kuchni, a mazowieccy, wstydząc się za swoich ziomków, radzili im, ażeby raczéj powrócili do domu, aniżeli daremnie zalegali pole. Ale się na nich ofuknęli Mazurowie,[4]) i oświadczyli, że nie wprzód rozejdą się do domu, aż wybiorą na króla, bądź Gaweńskie książe, bądź Rdesta.[5]) Odtąd Mazurowie pilnie uczęszczali na sejmy, widząc, że w masie mogą tu coś znaczyć, ale u siebie w domu unikali publicznych zjazdów, wiedząc o tém, że na nich przemagają panowie. Dla tego też (jak mówi Miaskowski) Mazur ra-

[1]) Długosz I. str. 95. 644.

[2]) K. Fr. Eichorus Deutsche Staats- und Rechtsgesch. Göttingen 1835. wydania V. tom II. str. 193.

[3]) Tym tylko sposobem wytłómaczyć sobie możemy zasadę prawa w statutach mazowieckim, str. 434. podług wydania J. W. Bandtkiego *ius polonicum* i Kurlandzkim §. 183. objawioną, która słowiańskim a nie germańskim oddycha duchem.

[4]) Bielski kron. 697.

[5]) Tak nazywali oni księcia Andegaweńskiego Henryka i Ernesta, arcyksięcia rakuskiego, nie umiejąc nawet imion ich wymówić należycie.

czéj na targ, niż na sejmik uczęszczać wolał. Kiedy w XV. XVI. wieku Wielko- i Małopolska protestantyzmem przesiąkły wielce, u Mazurów zachowywała się w czystości religia katolicka. To, jak mniemam, było powodem Zygmuntowi III., że tu przeniósł stolicę państwa i osiadł w Warszawie. Na co chętnie zezwolili panowie, wiedząc o tém, że najłatwiéj będą mogli dokazywać na sejmach przez liczną drobną szlachtę, która jak roje mrówek mazowieckie zalegała piaski.

Wszystkie przymioty staro-słowiańskie cechowały Mazura. Był on mężny w boju, ale pokój nad wojnę przekładał. Spokojność i zatrudnienia domowe przenosił nad wszystko i wysoce cenił pracowite swoje i hoże niewiasty. Gościnność i mierność lubił, do zwady był skory, nie tak wszakże, ażeby sam zaczepiał wroga, lecz raczéj, ażeby mężnie odparł zrobioną na siebie napaść, nie cierpiąc tego, jak mawiał, ażeby mu kto w kaszę dmuchał. Pełno na to dowodów dostarczają owcześni pisarze.

Strykowski [6]) wychwala męztwo brata Mazura, uzbrojonego szarszunem (broń sieczna), kijcem i pukawką (strzelba). W czasie dobywania Wielkołuków za Stefana Batorego, Wieloch Mazur, poddany Lasockich ze wsi Miastkowa, chociaż był postrzelony, przecież szedł oślep z ogniem w ręku i parkan fortecy palił: za co król, nagradzając jego męztwo, szlachcicem go uczynił. [7]) Wśród boju tęsknił Mazur do żony i dziatwy, niekiedy cichaczem wymykał się do domu, ażeby co prędzéj mógł oglądać swoich. [8]) Tam on słodkie wśród rolnych zatrudnień spędzał chwile, pianiem swojego gospodarza (koguta tak nazywał) budzony do pracy, zachęcany do wytrwałości przykładem swojéj niewiasty, która była tu pracowitsza, niż gdzie indziéj w Polsce. [9]) Błogo było w domkach tych ludzi; pełne tam były obory, pełne gumna. Chociaż małe role, często nie większe nad trzy zagony, posiadał Mazur, jednakże nie zbywało mu nigdy, czémby w chędogim swoim i skromniusienko urządzonym dworku hojnie przyjął gościa. Jeść i pić musiał potężnie gość, jeżeli nie chciał zmartwić uprzejmego Mazowszanina, który we wszystkiém skromny w téj tylko mierze przesadzał. Głównym w domu sprzętem była wisząca na ścianie barda (płocha) do wyrabiania płócień przydatna, odzieniem mieszkańca tego domu gruba siermięga, jéj ozdobą buława, którą zawsze nosił za pasem, a krasą twarzy potężny wąs. Szczerość, cnota, bojaźń Boża i ochota do pracy cechowały mieszkanie i mieszkańca mazowieckiego dworka. Skorszym on będąc do zwady niż do rady, nie wyruszył się nigdzie bez potężnego kija w ręku. [10]) Dzielném tém narzędziem nakazywał on dla siebie uszanowanie, niem odpierał napaść, niém uskramiał wroga. Zdobiły Mazurów: [11])

Szarszan zardzewiały
Z poszew opadały,
Kijec granowity,
Harkabus nabity.
Tak idą na Roki
Podeprą swe boki.

Zstępuy mu z gościńca
Rzuca się do kijca,
Potym z harkabuza
Wnet poprawi guza.

Z uszanowaniem i bojaźnią [12]) przepływali flisowie około dwóch kęp, drwalskiéj i nieznachowskiéj, na Wiśle za Wyszogrodem położonych. Zamieszkiwali je kłótliwi Mazurowie nazywani Nieznachami, którzy ustawicznie kłócili się między sobą, a nikomu mięszać się do siebie nie dali. Guzy potężne czekały nieproszonego rozejmcę. Czubiąc Mazur jeden drugiego wiedział o tém dobrze, iż sowicie jutro odbierze, co dziś sąsiadowi udzielił hojnie.

Wielko- i Małopolanie wiele sobie powiadali gadek o niezgrabnych i głupich Mazurach, którzy jak szczenięta rodzili się ślepo, o Bożym nie wiedzieli świecie i nad głębokie swoje piaski niczego więcéj nie znali, którzy skorymi będąc do kijca w domu, uciekali się do prawa, gdy im przyszło rozprawić się z nieprzyjacielem na polu bitwy. Wołał raz Mazur na Tatarzyna, gdy go począł kieścieniem (broń tatarska nakształt toporu) po grzbiecie smarować, słysz, a czemu mnie bijesz? Jeżeli ja tobie co winien, patrzże ty mnie sobie prawkiem, a daj mi pokój. [13]) Takie szczególniéj gadki bolały Mazurów. Przekonani będąc o swojém męztwie, najprzykrzéj słuchali przymówek, czynionych sobie o tchórzostwo. Kiedy podochociwszy sobie na uczcie śpiewali Wielko- i Małopolanie: [14])

Mazurowie mili,
Gdzieście się popili,
W Warce na gorzałce,
W Czersku na złem piwsku.

Mazurowie naszy,
Po iaglanéy kaszy,

[6]) W pobudce.
[7]) Bielski kron. str. 774.
[8]) Miaskowski w niżéj przytoczoném miejscu.
[9]) Trztyprztycki.

[10]) Dosłownie wyjęto z Miaskowskiego I. str. 180. wydania 1622.
[11]) mówi pieśń stara w kiermaszu wieśniackim pieśń VII.
[12]) mówi Klonowicz we Flisie.
[13]) Gabryela Leopolity kazanie 3. zbioru IV.
[14]) Kiermasz wieśniacki pieśń VII.

Slone wąsy maią.
Piwem ie maczaią:
Skoro się podpiją,
Wnet chłopa zabiją;

brat Mazur wcale się o to nie gniewał, bo dwa ostatnie wiersze rozbrajały gniew jego, z którymby był wybuchnął nieochybnie, gdyby mu męztwa jakośkolwiek nie przyznano. Owszem, jak gdyby go po sercu pogłaskał, odciął się wesołemu śmiałkowi rodzinną piosenką, w któréj po krótce wszystkie swoje dobre i złe wymienił zalety.

Znay Polaku pany,
Śmiałe Mazosany,
Gotowi do boju,
W zwadzie y w pokoju,
A nie wiele mierzą,
Śmiejąc się uderzą.
Chocia w piasku brodzą,
Lecz ostrożnie chodzą.

Warszawa w Lutym 1840. *W. A. Maciejowski.*

Kto z Bogiem to i Bóg z nim.

(Dalszy ciąg.)

Z córek podkomorzego starsza dwudziesty rok poczynała, a najmłodsza kończyła szesnasty. — Państwo podkomorstwo polskim, chrześciańskim obyczajem, niezwali swoich córek imionami pogańskich bałwanic, albo dziwolążnemi zwaniami bohaterek francuzkich andronów; po prostu przy każdych urodzinach zajrzeli w kalendarz, drukowany w Berdyczowie u księży Karmelitów bosych, i nowonarodzonéj nadali miano świętéj patronki albo świętego patrona, który tym dniem się opiekował. I dla tego podkomorzanki zwała się jedna Józefa, druga Tekla, trzecia Róża; — wszystkie trzy harne, krasiwe i hoże dziewice, a każda inaksza. — U Józefy jasne włosy, ciemne oczko; oczko co czasami żarem płonie, słońcem błyszczy, a czasami w łzawéj mgle się kąpie i słodko a lubo omdlewa; czoło gładkie, łagodne, jak obłoki bez chmurek, przejrzyste, tak iż każda żyłka na niém się rysuje, brwie cienią się łuczkiem, rzęsa mgli niby pajęczyna jedwabiu, — nosek kształtny, usteczka malutkie, rumiane, słodziutkie jakby pocukrowane — zdają się wołać: pocałuj mnie! pocałuj mnie! — twarzyczka biała, wymuskana z lekka pociąga się krasą niby cieniem rumieńca, — szyjka, pierś śnieżne jak kwiat łotaczu, a takie ładne, takie czarowne, że aż serce rozkosz łechce, że oczy rozkosz nęci, — wzrostem ni rosła, ni mała, ale szykowna, ale zgrabna, a taka wiotka, że zda się w powietrze wyleci, i prosi chłopców: zatrzymajcie mnie na ziemi. — U Tekli twarzyczka milutka, figlarna, zawsze zrumieniona krasą polnéj róży; niebieskie oko ciągle wabi i mizga się, ciemna brew mszy się jak axamit, rzęsa mruga jakby na sprężynach, ciągle główką rusza i sploty ciemnych włosów igrają i drażnią się z uśmiechającém się czołem i z gładką skronią, — bezustanny uśmiech siada na ustach i lata po twarzy; kibić rosła, wysmukła, gibka i wertka — ona i twarzą i kibicią mówi: chłopcy niezłapiecie mnie, a ja was wodzić będę, jak zechcę. — U Róży oko czarne to ogniem czucia się zapali, to dobrocią się umili, to hardo spojrzy, — włosy czarne i lsknące, jak krucze pióra, a miękkie i polotne jak jedwab, — twarz biała jak mleko, i ząbki jak cukier biały — a rumieniec krasny jak krew i usta krasne a takie świeże, że choć wody się z nich napić; — składy ciała jeszcze w pączku, ale już zapowiadają, czém będą, — już i chód i postawa dumą piękności się znaczą i piszą przed oczami wszystkich: wielbcie mnie, kochajcie, padajcie mi pod nogi — nie łatwo ja wybiorę — ale kogo pokocham, to będę kochać. — Wszystkie trzy z ojcem pieszczące się, pochlebne jak młode koteczki, — ze starszemi potulne, łagodne, — ze sługami słodkie, zawsze z prożbą, nigdy z rozkazem, — ze znajomemi serdeczne i szczere, z nieznajomemi grzeczne, — stroskanym biegły z pomocą, biednym z hojną jałmużną — a Bogu w hołdzie pokorne i pobożne modły i duszewne dziękczynienia niosły.

Takiemi trzema córami chlubił się podkomorzy i dziękczył Bogu za ten dar; a wszyscy w sąsiedztwie go kochali po bratersku, po chrześciańsku — szczerze, po staropolsku, i mówili: »Bóg mu nagradza, bo kto z Bogiem to i Bóg z nim.«

IV.

Na dziedzińcu psy zaszczekały, skoczyły ku bramie i już umilkły, tylko się łaszą koło konia Sawyny, koło konia wiernego kozaka. Podkomorzy spojrzał w okno, uśmiechnął się zadowolnieniem: »To Iwan jedzie!» — szedł na ganek, bo to syn jego dawnego i dobrego przyjaciela; zmarł ojciec, ale synowi starą przyjaźń w spadku zostawił. — Podkomorzanki w oknie stanęły i patrzą. — Iwan od bramy z kopyta konia w czwał wypuścił, dziedzińcem jak wicher przeleciał, przed gankiem osadził w miejscu, aż koń zadniemi nogami zaorał ziemię, a przodem wzniósł się w górę. — Iwan w mig zeskoczył z siodła, — panna Józefa pobladła — »Mój Boże, on się zabije!« — Panna Tekla mrugnęła i uśmiechnęła się: »Jaki zgrabny pan Sawyna, jak mu ładnie w téj burce.« — Panna Róża skraśniała na twarzy, zabłyszczała okiem: »Co się nazywa dzielnie, jak wicher leciał, jak wryty stanął.« — A panna Salomea przy-

mrużyła oczki, skrzywiła usta: »Quelle idée — na koniu z wizytą — zrobi d'un salon stajnię — Rosine, zmiłuj się l'huile d'orange — już czuję stajnię; — Racine qu'en dirais tu, un gentilhomme a czysty kozak!« — Wtém drzwi się otworzyły i wszedł podkomorzy z Sawyną. Sawyna wzrostem był pohoży, ruchy ciała składne i zwinne, zwyczajnie kozacze, twarz śniada, oko siwe, bystre, jak u sokoła, nos orli, czoło wysokie, ciemna czupryna rzadka na przodzie, jakby umyślnie podgolona, na przedniéj wardze czarniawy wąsik się wysypał i mszy axamitem, — dziki zapał i praworność na twarzy, kozacza duma i motorność w postawie, — jedném słowem na całą gębę kozak. — Ubior jego nie wykwintny, nie trefiony, ale strojny i bogaty — powitanie nieukładne, niemierzone, ale szczere i przystojne, — przyjacielskie niby ojcowskie uściskanie podkomorzego, radość i szczerota na twarzach dziewcząt tak rozdobruchały Sawynę, że rozmawiał wesoło, zadosyć — choć niesilił się na rozum, niesadził się na wyszukane rzeczy i słowa — rozmowa szła poskocznie i ani na chwilkę nikt się nie zaciął w mowie, ani zafrasował się, co ma powiedzieć, — nawet tą razą panna Salomea zapomniala o spazmach i supirach, piętnaście razy zawołała tylko: »Quelle idée!« a ledwie dziesięć razy wmieszała Rasyna, Krebilona i pannę Skudery w rozmowy o wiejskich rzeczach, o polowaniu, o strachach, upiorach i o podaniach ludu. — W tych wiadomościach Sawyna celował, na całe okolice wiedział, w jakiéj mogile pieniądze się palą; kędy Wołkałaka mandruje, z których cmentarzów wychodzą martwice i upiory, gdzie mieszka czarownica, co mleko krowom odbiera, deszcz sprowadza i nawrokami na ludzi rzuca. Znał wszystkie dumy i pieśni Ukrainy i wszéj ruskiéj ziemi, od deski do deski znał wszystkie podania o dawnych bojach i morach — i kiedy o nich albo o panowaniu mówił, to pięknszało lice, panoczała postawa, wiara patrzała z oczów, a słowa tak bujnie i tak szparko płynęły, jak woda na łotoki. Zdawałoby się, że Bojar jakiś przyszedł z nad Dniepru pieścić ucho, krew zapalać i matać duszą kozaczego ludu. — Kiedy panna Salomea wściebiła w rozmowę jakiegoś tam swojego Rasyna, Sawyna o mało się nieprzeżegnał, myślał, że to djable miano, a potém zapytał, czy nie nowy jaki sąsiad przybył w okolice; — młode panny pusto się zaśmiały, ale nie szyderczo, nie złośliwie, — ciotunia westchnęła: »Quelle idée!« — a podkomorzy wąs musnął, pas poprawił: »A to Francuz jakiś — Bóg to święty wie, zkąd on.«

I wszystko szło dobrze, składnie. Kilku sąsiadów przyjechało, — przy obiedzie podkomorzy kazał przynieść starego węgrzyna w omszonych butelkach i wiwatowych kielichów, — choć to nie święto, ani uroczystość żadna, zdrowia po zdrowiach wychylano. W końcu podkomorzy nalał wina w kielich: »Iwanowéj Bohdanki!« — i z półuśmiechem spójrzał na swoje dziewki; — sąsiedzi jak ojciec pili, uśmiechali się i zazierali w twarzyczki dziewczętom, a dziewczęta kraśniały i spuszczały w dół oczki. Sawyna na podziękowanie kłaniał się, poczerwieniał i języka w gębie zapomniał — a sąsiedzi bywalce kmetowali; dobry znak, kocha się chłopiec, ale w któréj, to sęk, wszystkie trzy pokraśniały, jak maliny — a kozak na żadną w téj chwili nie patrzył. — Ojciec może wie, może niewie, która z córek przypadła do serca młodemu Sawynie; dziewcze zazwyczaj sprytne w takich rzeczach, może odgadło jego miłość, ale co ludzie, to nic niewiedzą — bo Sawyna przed światem, strzelistemi słowami, bezczelnemi mizgami oka, uczucia swego nieczwanił — on kochał się dla siebie, a nie dla ludzi.

Po obiedzie jakiś powóz przed ganek zajechał, ale niebyło słychać staropolskiéj palby z bata, tylko pocmoki i pogwizdy moskiewskich kuczerów. Jeszcze podkomorzy niepodążył wyjść przeciw gościom, a już się drzwi otworzyły i przodem wpadł jakiś fircyk świszczypałka, we fraszek przybrany, kuso i opięto, w butach ze sztylpami, uczupierzony gdyby pudel — choć to jeszcze ani myśli kur piać na północ — Sawyna myślał, że bezpięty się wyrwał i wskoczył między ludzi, o mało niezawołał: »Wszelki duch chwali pana Boga!« — Za fircykiem wszedł urodziwy młodzieniec w dońskim kozaczym stroju, z szablą przy boku i z oficerskiemi błyskotkami. — Ów fircyk zwał się graf Tytus Emanuel Gotard Askaniusz Bukarewicz, kamerjunkier jego cesarskiéj mości, odkomenderowany do osobnych i ważnych poruszeń przy ober-jegier-majstrze grafie Naryszkinie i przez tego ostatniego posłany na rekrutowanie. — Z ojca Polaka, z matki Polki, tak skapcaniał sercem, obyczajami zdworszczał, taki się zrobił perekidczyk, że aniby komu przez myśl przeszło, iż w jego żyłach płynie krew polska, krew szlachecka; ale za to po mistrzowsku znał obrzędy wielkiego świata, plótł trzy po trzy, bez składu i ładu, ale po francuzku, mizdrzył się do płci pięknéj, jak to mówi gminne przysłowie, gdyby suczka na przewozie; — czasami jak furkadło wiercił się po komnatach, czasami ziewał, nudził się, obojętném a pogardliwém okiem na wszystko pozierał — a jedno i drugie udawał — nosił okulary i lornetkę — pisał wiersze, wikłał zagadki, bohomazy malował, brżdąkał na klawicymbale, tańczył gdyby skoczek, w rozmowie na harc ciągle wyprowadzał, albo swoje zdarzenia u cesarskiego dworu, albo widowiska

stolicy, albo pokątne miłostki i potykania się różnych a różnych pań i panów.

Podkomorzy trochę się naburmusił, ale w swoim domu musiał grzecznie przyjąć gościa. Graf szumnie przedstawił rotmistrza Jełowajskiego, swojego pastojowa, a potém fertycznie przysuwał się do panien. Jak zapaplali po francuzku z panną Salomeą, to panna Salomea aż odmłodniała, uśmiecha się, kryguje, spieszcza głos, jak piętnastoletnie dziewcze.

Przyjazd naszych gości tak zbił z pantałyku Sawynę, że usiadł i jak mruk siedział, a ręką to chustkę od nosa miął, to wystrzępywał tręzle pasa — a panna Róża popatrzyła na niego i zaśmiała się, jakby chciała powiedzieć: ja wiem, co to znaczy. — Jełowajski, czy z przypadku, czy umyślnie, siadł koło panny Tekli i rozmawiał o sąsiedztwie, o zabawach, — widać, że Laszka wpadła w oko Dońcowi, bo ani myślał rzucać swego miejsca. Graf zgrabnie odsunął się od panny Salomei i przysiadł się do panny Józefy; z początku jakoś szła rozmowa nieglaznie, nieśmiało ze strony panny, ale niebawem poczęła śmiać się i szczebiotać i przymilać — bo te lalki wertepowe wielkiego świata z razu i na chwilę mają dar obałamucenia młodéj dziewczyny. — Sawyna poczerwieniał, zaiskrzył okiem, nawet zębem zgrzytnął — wstał, zmierzył wzrokiem od stóp do głowy grafa, może chciał go zadławić, bo w pierwszéj chwili siwe oko aż poczerniało od gniewu — ale kiedy zobaczył, że panna Józefa tak zajęta tym świszczypałką, iż na niego ani spojrzy, — czy łza mu się w oku zakręciła, czy smutek uderzył do głowy — obrócił się i wyszedł.

Wrócił, ale już do pierwszéj komnaty, gdzie podkomorzy z sąsiadami zapijali Węgrzyna pomalutku, i gawędzili gadu, gadu — to o gospodarstwie, to o ojczystych sprawach — bo to już czas rozpoczynać gorzelnię, woły stawiać na brahę, — a wieść doszła przez berdyczowskich kupców, że w księstwie warszawskiem jakiś ruch i Napoleon ten wielki wojownik coś zamyśla o Polsce.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przegląd pism.

Wędrówki literackie, fantastyczne i historyczne przez *Kraszewskiego. Tom II. Wilno.*

(Dokończenie.)

W następującym artykule »Przechadzka po bibliotekach« wymienia autor kilkanaście ważnych a dość rzadkich dzieł; mówiąc o komedyi rybałtowskiéj, wspomina o teatrze polskim dawnym, smutną czyniąc uwagę, iż kiedy na weselu Władysława IV. grano tragikomedyą o Św. Cecylii, John Bull zachodził się od śmiechu, patrząc na wielki brzuch Falstaffa i poklaskiwał jenialnym pomysłom Calibana, Otella, Hamletta. To, co p. Kraszewski o Szekspirze i o trudnościach przetłómaczenia dzieł jego mówi, chociaż nierozwija nowych myśli, zawsze przecież godném jest uwagi.

W »pielgrzymce po stolicach« opowiada autor, iż znudziwszy się gawędą, z p. Porucznikiem siada na konia i jedzie do Paryża; opisuje życie w téj stolicy świata, kobiety młode i stare, panny i mężatki, wdowy i gryzetki, artystów i literatów, bankierów i rzemieślników, tak iż się zdaje, że autor tak obznajomiony z Paryżem, jak z miastem lub wsią, w któréj się urodził. Znudziwszy się, puszcza się w podróż z Paryża do Konstantynopola. ztamtąd do Hiszpanii, zkąd zajeżdżamy z nim do Berlina; w Berlinie zapoznaje nas z nieboszczykiem Hofmanem, pijemy z nim puncz zrobiony wprawnemi rączkami białéj Lotchen, puncz morski, który ze krwią złączony, wre jak lawa w żyłach; słuchamy rozkładu jego monografii głupstwa, a w końcu powieści o kwiatu paproci à la Hofmann opowiedzianéj, którą tu przytaczamy w skróceniu:

»Było to w dzień Święt. Jana (tak opowiadał pewien tajemniczy człowiek Hofmanowi), w domu nie było chleba, dzieci moje wyciągały do mnie ręce płacząc, a ja nie miałem im co dać; żona przedawszy ostatnie swoje łachmany, przyniosła im zgniłych i kwaśnych jabłek, bo w mieście chleba nie dostała — pożerały je biedne zgłodniałe — nie mogłem na to patrzeć i uciekłem z domu. Na ulicach pełno było ludzi postrojonych, matki z postrojonemi dziećmi, ojcowie z drobnemi na ręku — moje biedne płakały z głodu. W rozmowach przechodzących słyszałem o kwiecie Paproci, śmieli się z niego, ja z rozpaczą w sercu, bez myśli poszedłem do lasu. Nagle o kilka kroków od siebie postrzegłem na łodydze ogromnéj paproci, jasny kwiat złoto-niebieskiego koloru. Wznosił się może łokieć nad ziemią. a był tak wielki, że w nim wygodnie spocząć mógłby człowiek, miał siedem liści i siedem pręcików świecących jak promienie słońca, i siedem małych listków przy łodydze — domyśliłem się od razu, że to jest kwiat mego szczęścia i poskoczyłem ku niemu. Lecz kiedy już wyciągałem rękę, naokoło jak z kotła buchnęły płomienie i kwiat się podniósł, potém z płomieni wyskoczyły smoki siedmiogłowe, wzięły się skrzydłami i zaczęły skakać wyjąc takiemi głosami, jakie chyba w piekle posłyszeć można. Na samym kwiecie tańcowało siedmiu djabłów zielonych, a na średnim słupku trzymał się na ogonie wyprężony wąż niebieski, z którego pyska widać było język palący się jak świeca. Cofnąłem się krokiem i pomyślałem, albo wezmę, albo zginę, jeźli dostanę, dzieci moje nie będą głodne, jeźli zginę — nic im moja śmierć nie zaszkodzi. Przystąpiłem, wrzawa rosła, płomienie buchały, smoki obracały się tak prędko, jak najmniejsze z kół młynowych — wyciągnąłem przez nich rękę, posunąłem się nie patrząc, chwyciłem za łodygę i już kwiat był moim. W momencie wszystko ustąpiło i zgasło; tylko siedmiu djabłów zielonych skoczyło na ziemię, pozdejmowali kapelusze, zaczęli mi się kłaniać i drwić ze mnie. A! winszujem! winszujem! wołali, ślicznąś rzecz dostał, schowaj do kieszeni, schowaj do kieszeni, poparzy ci ręce! winszujem. Jeden śmielszy zbliżył się i chciał mi wyrwać kwiat z ręki, uderzyłem go po głowie i zniknął. Myślałem potém co robić z kwiatem, jak go użyć, gdzie schować, ale zaledwiem o tém pomyślał, kwiat zmniejszył się, złożył jak do pularesu, włożyłem go w kieszeń z boku i szybko powracałem do domu. Zaledwie wyszedłem z lasu, całe pole między mną a miastem ujrzałem zasiane pieniędzmi, które wszystkie w głębi ziemi widziałem; wszystkie skarby były mi widoczne, ale nie mając ani rydla, ani łopaty, ani czasu, musiałem odurzony i uszczęśliwiony powracać do domu. Zastałem w nim taką samą, jakom porzucił nędzę, ale zaraz na progu, wyjąwszy mój kwiat, zażądałem od niego jedzenia. Stół nakryty wszedł kominem — ten cud nie bardzo głodnych zadziwił, nie myśleli zkąd i jak przyszło, byle jedli. Potém zażądałem sukni, domu, majątków i wszystko

było na moje rozkazy. Uwierzycież temu, we dwa tygodnie tak byłem znudzony, nie wiedząc czego żądać, żem zazdrościł chwili, w któréj pracowałem na kawałek spleśniałego chleba. Żona moja z początku rada odmianom, widząc nareszcie jak cudownie przychodziły, pomyśliła nakoniec, żem djabłu duszę przedał, płakała cały dzień i noc, modliła się, ale bojąc się mnie, nic mi powiedzieć nie śmiała. Przyszła następna Wielkanoc, poszliśmy razem do spowiedzi i uspokoiła się nareszcie, nie mogąc jednak pojąć, jakim sposobem działy się wszystkie te cuda.

Ale mnie z temi wszystkiemi dostatkami coraz nudniéj było na świecie, miałem czego tylko żądałem i niepodobna mi było, wymyśleć żądania. Poznałem wówczas, że w życiu człowieka, więcéj robią przyjemności żądania i nadzieje, niż samo użycie. Kilka razy miałem ochotę precz wyrzucić ten kwiat przeklęty, alem się lękał nędzy, na któréj wspomnienie drżałem. Tym czasem najnieroztropniejsze żądania moje, często z zapoźnym żalem, spełniały się cudownie. Tak raz, gdy mi najmilsze moje kwiaty potłukły z wazonami dzieci, w pierwszym gniewie wyrwały mi się słowa: — Bodajem was więcéj nie widział. — Wieczorem próżno po całym domu szukaliśmy dzieci, nie było ich nigdzie, rozesłałem ludzi na wszystkie strony, Karolka i Emilki nie było. Smutni siedliśmy do stołu i nic nie jedli. Lecz, gdy roznoszono potrawy, sługa przez zapomnienie stanął koło ich miejsca i łyżka sama nałożyła jedzenia na ich talerze. — Jesteście tu! zawołałem. — Tylko cośmy przyszli z ogrodu Papo, odezwały się dwa ich głosiki dziecinne. Obejrzałem się, ale krzesła były próżne i niewidać ich było. — Gdzież jesteście? — Siedzim za stołem. — Czyż ich nie widzisz, odezwała się w téj chwili moja żona, ja od kwadransa spostrzegłam ich już, i myślałam, że widzisz ich także. — Niestety! poznałem w téj chwili, żem ich już nigdy więcéj nie miał widzieć, dotknąłem rękoma, oboje, ale oczy moje próżno się siliły zobaczyć je — dla nich już nie było moich dzieci.«

Nieznajomy zamilkł (opowiada daléj Hofman) skupiliśmy się koło niego i zaczęliśmy prosić o pokazanie kwiatu. Opierał się długo — potém wydobył z za sukni zamknięty pugilares, odwinął papiery, uczuliśmy wszyscy zapach niesłyszany nigdy, jeszcze kwiatów rosnących w raju, i nakoniec ukazał się nam cudowny kwiat. Nie był wyschły, ani zwiędły, i zdawał się cały brylantami sadzony, tak, że przy nim wszystkie światła pogasły — oczy nasze oderwać się od niego nie mogły. Nieuważaliśmy, jak ktoś obcy wsunął się między patrzących i nagle pochwycił go z całéj siły, szarpnął do siebie, urwał ze sznurkiem i wybiegł. Dawny jego posiadacz nie bronił się wcale, pozwolił go wziąść i usiadł spokojnie przy nas pić wino i fajkę palić.

— Cóż teraz poczniesz? zapytałem.

— Mój kwiat powróci do mnie.

Czekaliśmy aż do północy, ledwie ta godzina wybiła, kwiat rozwinięty, błyszczący wszedł do izby, wlokąc za sobą złodzieja, który przytrzymany liśćmi za rękę, napróżno się wyrywał. Nieznajomy wziął kwiat, odczepił złodzieja i puszczając z ust fajkę, zawołał: Za karę przemieniam cię w połapkę na myszy — zdradzaj i zabijaj — przynajmniéj nie ludzi. — Ledwie tych słów dokończył, na środku stała już połapka ze słoniną i czekała na myszy.

W rok dopiero po tym wieczorze zobaczyłem nieznajomego posiadacza kwiatu paproci, przyszedł znowu w dzień Św. Jana do naszéj kawiarni, ale już zupełnie inaczéj wyglądał, otyły był, włosy miał czarne, twarz rumianą, ale humor jego nic się niezmienił, tak był smutny, jak wprzódy. — Pytałem się, jak ten rok przepędził? — Nędznie! odpowiedział. Przekonałem się, że są rzeczy, których nie można dokazać kwiatem paproci. — Cóż takiego? zapytałem. — Szczęścia, rzekł smutnie, chodzę za niém i nigdzie go niema, mam wszystko i nic mnie nie cieszy, sprzykrzyło mi się żądać. Nikt mnie nie kocha, próżno żądam tego od czarodziejskiego kwiatu, on mi nic nie pomaga. Obojętni, zimni, wszyscy mnie omijają i zostawują w środ obcych. Po tych słowach wyszedł i znowu rok upłynął, nim go w dzień św. Jana zobaczyłem w naszéj kawiarni. Skarżył się znowu. Ożeniłem się, rzekł powolnie, myślałem, że tym sposobem zrobię sobie rodzinę nową, że mnie ktokolwiek na tym świecie szerokim kochać będzie; — napróżno, widzę jak na dłoni serce mojéj żony; pełne jest strojów, fraszek, młodych twarzyczek, a mnie tam niema. Gdybym jak inni mógł przynajmniéj wyobrazić sobie, że jestem kochany. Ach, tysiąca lat koniec jeszcze daleki.

Od tego czasu, dodał Hoffman, niewidziałem go nigdy.«

Choroba Hoffmana właśnie wówczas się powiększała; autor, niechcąc jéj być świadkiem, udał się do Włoch, mówi o kościele Św. Piotra, o młodości Cagliostra i t. d. — Z Rzymu wybrałem się do Sztokolmu (są słowa autora) a niemogąc dostać przewodnika, kupiłem sobie *Wägwisare etc.* — Dobrze było, pókiśmy lądem jechali, ale jak przyszło nad morze, to stanął mój koń i ja z nim. — Co tu robić? — Idź wpław — powiedziałem do konia. — Woda bardzo słona, odpowiedział mi, trzęsąc uszami — czekajmy na okręt. — Usłuchawszy jego rady, czekałem dwa lata nad brzegiem, nie zsiadając, żeby być zawsze gotowym, trzeciego dopiero zabrała nas fregata szwedzka, nazywająca się »Śledź«, i przywiozła do Szwecyi — — —

Do stołu dali, zupa stygnie. — »Zaraz idę.« —

Pojechałbym do Sztokholmu, ale sami powiedzcie, kochani czytelnicy, czy godzi się dać ostygnąć obiadowi! Muszę więc podróż na drugi raz odłożyć.

Tak ucina p. Kraszewski i tym humorystycznym artykułem zamyka drugi tom Wędrówek, których tom trzeci, będący obecnie w druku, a mający kilka nader ważnych zawierać rozpraw, z niecierpliwością oczekujemy.

Doniesienia literackie.

P. Konstanty Woronicz wydał pisemko o najwłaściwszéj dynastyj, równie niedorzeczne i śmieszne projekta zawierające, jak osławione dziełko jego imiennika Janusza Woronicza »O dynastyi.«

Dnia 9. Stycznia rozpoczął p. Wołowski »Kurs prawodawstwa administracyjnego w konserwatoryum paryskiem sztuk i rzemiósł.«

U Breitkopfa i Härtla wyjdzie w tych dniach nowa kompozycya naszego Lipińskiego: »*Reminiscenses des Puritani, fantaisie pour le violon avec accomp. de l'orch. — Oeuvre* 28.«

W Warszawie wyszedł: »Pamiętnik sceny Warszawskiéj«; zawiera między innemi mało nas zajmującemi artykułami fraszkę w 2 aktach J. Korzeniowskiego p. t.: »Zakład«, i dwie dość ważne tablice, z których pierwsza obraz statystyczny widowisk w dziesiecioletnich peryodach, poczynając od r. 1799; druga zaś, skład teatru w tychże latach obejmuje. — Tamże wyszedł w tych dniach 3ci poszyt Świata dramatycznego, zawierający aktorka z r. 1788, o teatrze w Europie i dramacie tegoczesnym i wiersze; wyszedł także 12ty zeszyt Muzeum domowego i zeszyt 4ty i 5ty Nowego Kolumba.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*